



NICHOLAS
SPARKS
SPÓJRZ NA MNIE

Prolog

Już pierwszego dnia pobytu w Wilmington wiedział, że nigdy nie osiedliłby się w takim mieście na stałe. Było zbyt turystyczne i wyglądało tak, jakby się rozrastało bez żadnego planowania. W zabytkowej części, zgodnie z jego przewidywaniami, stały domy z werandami, kolumnami, drewnianą elewacją i rozłożystymi magnoliami na podwórkach, ale ta przyjemna zabudowa stopniowo ustępowała ciągom sklepów, restauracji i salonów samochodowych. Na ulicach panował duży ruch, przez co dzielnica była tym bardziej nie do zniesienia, szczególnie latem.

Tereny Uniwersytetu Karoliny Północnej w Wilmington stanowiły miłą niespodziankę. Wyobrażał sobie, że w kampusie będzie dominować brzydka architektura lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Rzeczywiście było tam kilka takich budynków, zwłaszcza na obrzeżach uniwersytetu, ale główne dziedzińce okazały się swego rodzaju oazą. Nie brakowało tam ocienionych ścieżek i wypielęgnowanych trawników, a georgiańskie kolumny i ceglane fasady gmachu Hoggarda i Khenan Halls połyskiwały w słońcu późnego popołudnia.

Podziwiał park. Stała w nim wieża zegarowa i kiedy tu przyszedł, zapatrzył się na jej odbicie w stawie. Czas przeglądał się w wodzie,

na pierwszy rzut oka niemożliwy do odczytania. Dopóki miał otwarty podręcznik na kolanach, mógł tam siedzieć i obserwować toczące się życie, niemal niewidzialny dla studentów, którzy spacerowali jak w transie, pochłonięci sobą.

Było ciepło jak na późny wrzesień, studenci mieli na sobie krótkie spodenki i koszulki bez rękawów, wszędzie widział odkryte części ciała. Zastanawiał się, czy w takich strojach chodzą na zajęcia. Musiał poznać zarówno ich, jak i sam kampus. Przyszedł tu po raz trzeci w ciągu trzech dni, ale wciąż kręciło się zbyt wielu ludzi. Ktoś mógł zwrócić na niego uwagę, a przecież nie chciał być zapamiętany. Przez jakiś czas myślał, czy nie przenieść się w inne miejsce, i w końcu uznał, że nie ma ku temu powodu. O ile wiedział, nikogo nie obchodziło, że tutaj siedzi.

Dotarł blisko, bardzo blisko, ale na razie ważne było zachowanie cierpliwości. Powoli zaczerpnął tchu, przytrzymał powietrze w płucach i je wypuścił. Na ścieżce dostrzegł dwoje studentów z plecakami na ramionach, idących na zajęcia, ale o tej porze przeważali ci wcześniej rozpoczynający weekend. Stali w trzy-, czteroosobowych grupkach, rozmawiając i popijając z bidonów, w których, jak przypuszczał, był alkohol. Dwóch klonów w ubraniach marki Abercrombie rzucało frisbee, a ich dziewczyny gawędziły z boku. Zauważył sprzeczącą się parę. Dziewczyna miała zarumienioną twarz. Widział, jak pchnęła swojego chłopaka, powiększając przestrzeń między nimi. Rozbawiła go jej złość i to, że w przeciwieństwie do faceta nie musiała ukrywać uczuć. Za nimi gromadka studentów grała w łagodniejszą wersję futbolu amerykańskiego z beztroską żywiołowością ludzi, którzy nie mają prawdziwych obowiązków.

Przypuszczał, że wielu z nich planuje wyjście dzisiejszego i jutrzejszego wieczoru. Siedziby bractw. Domy korporacji studentek. Bary. Kluby. Dla wielu z nich weekend zaczynał się dzisiaj, gdyż

większość grup w piątki nie miała zajęć. Był zaskoczony, kiedy się o tym dowiedział. Sądził, że przy tak wysokich kosztach edukacji studentom będzie zależało na spędzaniu czasu w salach wykładowych, a nie na trzydniowych weekendach. Jednocześnie przypuszczał, że ten układ odpowiada zarówno im, jak i profesorom. Czy w dzisiejszych czasach każdy chce mieć łatwo? Osiągać cel kosztem jak najmniejszego wysiłku? Iść na skróty?

Tak, pomyślał. Dokładnie tego uczą się tutaj studenci. Uczą się, że trudne decyzje nie są konieczne, że dokonywanie właściwego wyboru jest nieważne, szczególnie jeśli ma się wiązać z dodatkowym nakładem pracy. Po co studiować albo rzucać wyzwanie światu w piątkowe popołudnie, skoro można wyjść i cieszyć się słońcem?

Wodząc wzrokiem z lewej strony na prawą, zastanawiał się, ilu z nich myśli, jakie ma przed sobą życie. Cassie myślała. Myślała o przyszłości cały czas. Snuła plany. W wieku siedemnastu lat zaplanowała przyszłość, ale pamiętała, że mówiła o tym trochę niepewnie, i wówczas odnosił wrażenie, że niezupełnie wierzy w siebie albo w twarz, którą pokazywała światu. Z jakiego innego powodu podejmowałaby takie, a nie inne decyzje?

Próbował jej pomóc. Zrobił, co trzeba, postępował zgodnie z prawem, złożył zeznania na policji, nawet rozmawiał z zastępcą prokuratora okręgowego. I do tego momentu wierzył w zasady społeczne. Hołdował naiwnemu pogładowi, że dobro zatriumfuje nad złem, że niebezpieczeństwu można zapobiec, że wydarzenia można kontrolować. Że postępowanie według zasad uchroni człowieka przed krzywdą. Cassie też w to wierzyła – czy nie tego uczy się dzieci? Spójrz w obie strony, zanim przejdiesz przez jezdnię. Nie wsiadaj do samochodu z nieznanym. Szoruj zęby. Jedz warzywa. Zapinaj pasy. Lista nie miała końca, lista zasad mających nas chronić.

Ale, jak się przekonał, zasady mogą również być niebezpieczne.

Dostosowuje się je do średniej społeczności, nie konkretnych osób, a ponieważ ludzie od dzieciństwa są uczeni akceptowania zasad, ich ślepe przestrzeganie łatwo wchodzi im w krew. Uwierzyć w system. Łatwiej jest nie martwić się o nieprzewidywalne sytuacje. To oznacza, że ludzie nie muszą myśleć o potencjalnych konsekwencjach i kiedy w piątkowe popołudnie świeci słońce, mogą grać we frisbee wolni od wszelkich trosk.

Doświadczenie jest najsurowszym nauczycielem. Przez prawie dwa lata myślał tylko o lekcjach, jakie mu dało. Niemal go zniszczyły, ale powoli wyłaniał się jasny obraz. Cassie wiedziała o niebezpieczeństwie. Ostrzegał ją przed tym, co może się stać. I w końcu dbała tylko o przestrzeganie zasad, ponieważ to było wygodne.

Spojrzał na zegarek i uznał, że pora iść. Zamknął podręcznik i wstał. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nie ściągnął na siebie czyjeś uwagi. Nie. Ruszył przez park z książką pod pachą. W kieszeni miał list, więc skręcił w stronę skrzynki pocztowej tuż przed budynkiem nauk ścisłych. Wrzucił kopertę w szczelinę i czekał. Parę minut później zauważył Serenę wychodzącą przez drzwi.

Sporo już o niej wiedział. Wydawało się, że w dzisiejszych czasach każda młoda osoba ma konto na Facebooku, Twitterze, Instagramie i Snapchacie i wystawia swoje życie na pokaz każdemu, komu zależy na poskładaniu wszystkich elementów w całość. Co kto lubi, z kim się przyjaźni, gdzie spędza czas. Z postu na Facebooku już wiedział, że w tę sobotę Serena będzie z siostrą na drugim śniadaniu u rodziców. Gdy patrzył, jak idzie przed nim – miała ciemne włosy sięgające poniżej ramion – znowu stwierdził, że jest piękna. Cechował ją naturalny wdzięk i mijani faceci posyłali jej pełne uznania uśmiechy, choć zdawała się tego nie dostrzegać, pogrążona w rozmowie. Szła z niską, tęgawą blondynką, koleżanką z grupy. Razem chodziły na jakieś seminarium. Wiedział, że chce zostać nauczycielką w szkole podstawowej. Snuła plany, jak kiedyś Cassie.

Zachowywał odległość, pobudzony przez siłę, jaką odczuwał w jej obecności. Przez siłę, którą skrupulatnie gromadził od dwóch lat. Nie miała pojęcia, jak jest blisko ani co może zrobić. Nigdy nawet nie spoglądała przez ramię, ale dlaczego miałaby to robić? Był dla niej nikim, po prostu kolejną twarzą w tłumie...

Zastanawiał się, czy opowiada blondynce o swoich planach na weekend, wymieniając miejsca, w których będzie, albo ludzi, z którymi zamierza się spotkać. Sam planował zobaczyć rodzinę na niedzielnym śniadaniu, chociaż nie jako gość. Będzie ich obserwował z pobliskiego domu zlokalizowanego w dzielnicy solidnej klasy średniej. Dom od miesiąca stał pusty, właściciele stracili go wskutek długów hipotecznych. Obciążona nieruchomość została zajęta, ale jeszcze nie wystawiono jej na sprzedaż. Zamki w drzwiach były porządne, jednak bez większego trudu wszedł przez okno z boku domu. Już wiedział, że z głównej sypialni widać tylną werandę i można stamtąd zajrzeć do kuchni. W niedzielę będzie obserwował, jak żyta rodzina śmieje się i żartuje przy stole na werandzie.

Wiedział coś o każdym z nich. Felix Sanchez był bohaterem klasycznej opowieści o emigrancie, któremu się powiodło. Artykuł z gazety, zalaminowany i dumnie wystawiony w rodzinnej restauracji, ukazywał historię Sancheza. Felix nielegalnie przybył do kraju jako nastolatek, nie mówiąc słowa po angielsku, i zaczął pracować jako pomywacz w miejscowej restauracji. Piętnaście lat później, gdy otrzymał obywatelstwo, miał dość zaoszczędzonych pieniędzy, żeby otworzyć w galerii handlowej własny lokal – La Cocina de la Familia – serwujący potrawy sporządzane według przepisów żony Carmen. Podczas gdy ona zajmowała się gotowaniem, on robił wszystko inne, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia firmy. Restauracja sukcesywnie się rozwijała i obecnie uważano ją za jeden z najlepszych meksykańskich lokali w mieście. Sanchezowie zatrudniali ponad piętnastu pracowników, ale wielu było krewnymi, co nadawało

restauracji rodzinny charakter. Sami też wciąż tam pracowali, a Serena trzy razy w tygodniu obsługiwała gości, podobnie jak kiedyś jej starsza siostra Maria. Felix należał do izby handlowej i klubu rotariańskiego, a w każdą niedzielę o siódmej rano wraz z żoną uczestniczył w mszy w kościele pod wezwaniem Świętej Marii, gdzie służył również jako diakon. Carmen była nieco bardziej tajemnicza. Wiedział o niej tylko tyle, że w dalszym ciągu z większą swobodą mówi po hiszpańsku niż po angielsku i że jak mąż jest dumna z Marii, która pierwsza w rodzinie ukończyła uczelnię.

Co do Marii...

Jeszcze jej nie widział w Wilmington. Wyjechała z miasta na parę dni na konferencję prawników, ale znał ją najlepiej ze wszystkich. W przeszłości, kiedy mieszkała w Charlotte, widywał ją wiele razy. Rozmawiał z nią. Próbował ją przekonać, że się pomyliła. I w końcu cierpiał przez nią tak, jak nikt nigdy nie powinien cierpieć. Nienawidził jej za to, co zrobiła.

Kiedy Serena pomachała ręką, żegnając się z koleżanką, i ruszyła w kierunku parkingu, szedł dalej prosto. Nie miał powodu jej śledzić. Był zadowolony, gdyż wiedział, że w niedzielę zobaczy jej małą, ale szczęśliwą rodzinę. Szczególnie Marię. Ciemnooką, z niemal idealnymi rysami twarzy, była jeszcze piękniejsza niż siostra, choć szczerze mówiąc, obie wygrały na genetycznej loterii. Próbował wyobrazić je sobie siedzące blisko przy stole. Mimo siedmioletniej różnicy można by sądzić, że są bliźniaczkami. A jednak się różniły. Serena była towarzyska do przesady, natomiast Maria cichsza i bardziej ambitna, poważniejsza i niezwykle pracowita. Mimo to były sobie bardzo bliskie. Były nie tylko siostrami, ale również najlepszymi przyjaciółkami. Przypuszczał, że Serena dostrzega u siostry cechy charakteru, jakie chciałyby naśladować, i odwrotnie. Przebiegł go dreszcz podniecenia na myśl o weekendzie, bo wiedział, że być może po raz ostatni Sanchezowie spędzą wspólnie czas, zanim ich życie

straci choćby pozory normalności. Chciał zobaczyć, jak się zachowują, zanim napięcie zatruje ich słodką szczęśliwą rodzinę... zanim władzę przejmie strach. Zanim ich życie najpierw powoli, a później w szaleńczym tempie zamieni się w piekło.

Ostatecznie przybył tutaj w określonym celu, a cel ten miał swoją nazwę.

Zemsta.

1

Colin

Colin Hancock stał przy umywalce w łazience taniej knajpy. Podciągnął koszulę, żeby obejrzeć siniak na żebrach. Przypuszczał, że jutro rano kolor będzie bardziej intensywny, ciemnofioletowy. Nawet lekkie muśnięcie palcami sprawiło, że się skrzywił. Z doświadczenia wiedział, że ból za jakiś czas osłabnie, ale zastanawiał się, czy rankiem nie będzie miał kłopotów z oddychaniem.

Co do twarzy...

Twarz może być problemem – nie dla niego, ale dla innych. Koleżanki z grupy z pewnością będą w niego wlepić szeroko otwarte, przestraszone oczy i szeptać o nim za plecami, chociaż wątpił, czy któraś go zapyta, co się stało. Po pierwszych tygodniach na uczelni uznał, że większość z nich jest dość sympatyczna, ale było jasne, że nie wiedzą, co o nim myśleć, i ani jedna nie próbowała go zagadnąć. Nie zależało mu na tym. Praktycznie wszystkie były sześć czy siedem lat młodsze od niego i przypuszczał, że mają niewiele wspólnego, jeśli chodzi o doświadczenie życiowe. Z czasem, jak każdy, wyciągną własne wnioski na jego temat. Szczerze mówiąc, nie warto zwracać sobie tym głowy.

Musiał jednak przyznać, że obecnie prezentuje się wyjątkowo koszmarnie. Lewe oko było opuchnięte, białko prawego

krwawoczerwone. Pośrodku czoła biegła długa rana, teraz opatrzona, a na prawym policzku pod okiem widniał przypominający znamię siniak w kolorze ołowiu. Obrazu dopełniały rozcięte, obrzmiałe wargi. Powinien jak najszybciej przyłożyć do twarzy worek z lodem, jeśli chciał, żeby dziewczyny z jego grupy mogły się skupić na zajęciach. Ale wszystko po kolei. Zgłodniał i musiał wrzucić coś na ruszt. Od dwóch dni jadł niewiele i miał ochotę na szybkie, smaczne jedzenie i, o ile to możliwe, w miarę zdrowe. Niestety o tej porze większość lokali była już zamknięta, więc zawiązał do przydrożnej zapuszczonej knajpki z kratami w oknach, zaciekami na ścianach, popękanym linoleum na podłodze i butelkami sklejonymi taśmą samoprzylepną. Ale miała jedną zaletę: żadnego klienta nie obchodził wygląd Colina, kiedy szedł do stolika. Ludzie, którzy późną nocą przychodzą do takich spelunek, umieją pilnować swojego nosa. Przypuszczał, że połowa z nich próbowała wytrzeźwieć po nocy ciężkiego pijaństwa, a pozostali – bez wątpienia kierowcy – też trzeźwieli, tylko odrobinę mniej pijani.

Było to miejsce, gdzie łatwo wpaść w kłopoty, i gdy skręcił na zwirowy parking, właściwie się spodziewał, że Evan, który ciągnął za nim w swoim priusie, pojedzie dalej. Ale Evan musiał mieć podobne podejrzenia co do możliwych kłopotów i właśnie z tego powodu postanowił mu towarzyszyć. Niezupełnie wtapiał się w tutejszy nocny tłumek, ubrany w różową koszulę, we wzorzystych skarpetach i ze schludnie uczesanymi włosami w kolorze piasku. Co więcej, prius niczym neon oznajmiał, że jego właściciel postawił sobie za cel dostać lanie od porządných chłopaków w pick-upach, którzy właśnie dochodzili do wniosku, że zmarnowali większą część nocy.

Colin odkręcił kurek, zanurzył dłonie i przyłożył je do twarzy. Woda była zimna, dokładnie taka, jak chciał. Miał wrażenie, że jego skóra płonie. Żołnierz piechoty morskiej, z którym walczył, zadawał

ciosy znacznie mocniejsze, niż można by się spodziewać – nie licząc tych niedozwolonych – ale kto mógłby to przewidzieć, tylko na niego patrząc? Wysoki, chudy, regulaminowa fryzura, głupawo uniesione brwi... Colin popełnił błąd, nie doceniając faceta, i obiecał sobie, że więcej do tego nie dopuści. Albo to, albo jak rok długi będzie straszył koleżanki z grupy, co po prostu może zepsuć im studiowanie. Mógł sobie wyobrazić, jak relacjonują przez telefon: „Mamo, jestem w grupie ze strasznym gościem, który ma siniaki na całej twarzy i do tego te okropne tatuaże! I muszę siedzieć sześć miejsc na prawo od niego!”.

Otrząsnął ręce z wody. Wychodząc z toalety, spostrzegł Evana siedzącego w kącie boksu. W przeciwieństwie do niego, Evan idealnie pasowałby do sali wykładowej. Wciąż miał młodzieńczą twarz i podchodząc do stolika, Colin rozmyślał, ile razy w tygodniu Evan się goli.

– Sporo czasu ci to zajęło – zauważył Evan, gdy Colin wsunął się do boksu. – Już się bałem, że zabłądziłeś.

Colin zgarbił się na winylowej kanapie.

– Mam nadzieję, że się nie denerwowałeś, siedząc tu sam jak palec.

– Ha, ha.

– Mam do ciebie pytanie.

– Strzelaj.

– Ile razy w tygodniu się golisz?

Evan zamrugał.

– Spędziłeś w łazience dziesięć minut i akurat o tym myślałeś?

– Zastanawiałem się nad tym, idąc do stolika.

Evan wlepił w niego wzrok.

– Golę się codziennie rano.

– Dlaczego?

– Co to znaczy: dlaczego? Z tego samego powodu co ty.

– Ja nie golę się codziennie rano.

– Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?
– Bo byłem ciekawy i zapytałem, a ty mi odpowiedziałeś – odparł Colin. Nie zważając na minę przyjaciela, wskazał menu. – Zmieniłeś zdanie i postanowiłeś coś zamówić?

Evan pokręcił głową.

– Absolutnie wykluczone.
– Nie zjesz nic?
– Nie.
– Masz zgagę? – spytał Colin.
– Prawdę mówiąc, bardziej podejrzenie, że ostatni raz inspekcja sanitarna kontrolowała tę garkuchnię za prezydentury Reagana.

– Nie jest tak źle.
– Widziałeś kucharza?

Colin zerknął w kierunku grilla za ladą. Kucharz, który stał przed środkową płytą, miał zatłuszczony fartuch opięty na wydatnym brzuchu, długi kucyk i tatuaże pokrywające prawie całe przedramiona.

– Podobają mi się jego dziary.
– Rany, też mi niespodzianka – rzucił Evan.
– To prawda.
– Wiem. Zawsze mówisz prawdę. Między innymi na tym polega twój problem.

– Dlaczego to jest problem?
– Ponieważ ludzie nie zawsze chcą słyszeć prawdę. Jak wtedy, kiedy twoja dziewczyna pyta, czy w jakimś stroju wygląda grubo. Powinieneś ją zapewnić, że wygląda pięknie.

– Nie mam dziewczyny – odparł Colin.
– Pewnie dlatego, że ostatniej powiedziałeś, że wygląda grubo, nie dodając słowa o pięknie.

– Było inaczej.
– Ale rozumiesz, o co mi chodzi. Czasami trzeba... mijać się z prawdą, żeby się dogadać.

– Dlaczego?

– Bo tak robią normalni ludzie. Tak funkcjonuje społeczeństwo. Nie możesz mówić ludziom wszystkiego, co ci przyjdzie do głowy. W ten sposób stawiasz ich w niezręcznej sytuacji albo ranisz ich uczucia. I jak wiesz, szczególnie pracodawcy tego nienawidzą.

– Okay.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę – powiedział Colin.

– Ale się nie przejmujesz.

– Nie.

– Bo wolisz mówić prawdę.

– Tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ nauczyłem się, że to działa na moją korzyść.

Evan milczał przez chwilę.

– Czasami żałuję, że nie mogę być taki jak ty – odezwał się w końcu. – Wygarnąć szefowi prosto w oczy, co naprawdę o nim myślę, bez oglądania się na konsekwencje.

– Możesz. Postanowiłeś tego nie robić.

– Potrzebuję stałych dochodów.

– To wymówka.

– Może. – Evan wzruszył ramionami. – Ale nauczyłem się, że to działa na moją korzyść. Czasami kłamanie jest konieczne. Na przykład gdybym ci powiedział, że widziałem parę karaluchów pod stołem, kiedy byłeś w łazience, mógłbyś podzielić moje odczucia co do konsumpcji w tym lokalu.

– Wiesz, że nie musisz tu siedzieć? Nic mi nie będzie.

– Ty tak twierdzisz.

– Martw się o siebie, nie o mnie. Poza tym robi się późno. Nie wybierasz się jutro z Lily do Raleigh?

– Z samego rana. O jedenastej pójdziemy na nabożeństwo z

moimi rodzicami, a potem zjemy lunch. Ale w przeciwieństwie do ciebie ja nie będę miał kłopotów z porannym wstawaniem. Wyglądasz koszmarnie, nawiasem mówiąc.

- Dzięki.

- Zwłaszcza oko.

- Jutro opuchlizna będzie mniejsza.

- To drugie. Sądzę, że pękło ci kilka naczynek. Albo to, albo naprawdę jesteś wampirem.

- Zauważyłem.

Evan się wyprostował, lekko rozłożył ręce.

- Wyświadc mi przysługę, dobrze? Jutro nie pokazuj się sąsiadom. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby pomyśleli, że poturbowałem cię za spóźniony czynsz lub coś w tym stylu. Nie chcę mieć złej reputacji jako gospodarz.

Colin się uśmiechnął. Ważył co najmniej piętnaście kilogramów więcej niż Evan i lubił żartować, że jeśli przyjaciel kiedykolwiek postawił nogę w siłowni, to prawdopodobnie w celu przeprowadzenia tam kontroli.

- Obiecuję nie rzucać się nikomu w oczy – zapewnił.

- Dobrze. Zważywszy na moją reputację i tak dalej.

Podeszła kelnerka, postawiła na stole talerz jejcznicy z samych białek z szynką i miskę płatków. Gdy Colin przysunął miskę, spojrzał na kubek Evana.

- Co pijesz?

- Gorącą wodę z cytryną.

- Poważnie?

- Minęła północ. Gdybym wziął kawę, byłbym na nogach przez całą noc.

Colin zjadł łyżkę płatków.

- Okay.

- Co? Bez złośliwego komentarza?

– Po prostu jestem zaskoczony, że mają tu cytrynę.
– A ja jestem zaskoczony, że robią jajecznicę z białek.
Prawdopodobnie jesteś pierwszą w dziejach tej knajpy osobą, która zamówiła zdrowy posiłek. – Evan sięgnął po wodę. – Jakie masz plany na jutro?

– Muszę wymienić stacyjkę w samochodzie. Później zajmę się trawnikiem, a potem skoczę do siłowni.

– Chcesz jechać z nami?

– Brunch niezupełnie mi leży.

– Nie zapraszam cię na brunch. Wątpię, czy z taką gębą wpuściliby cię do klubu. Ale w Raleigh mógłbyś się zobaczyć z rodzicami. Albo z siostrami. To po drodze do Chapel Hill.

– Nie.

– Po prostu przyszło mi na myśl, że spytam.

Colin nabrał łyżkę płatków.

– Nie.

Evan odchylił się na oparcie.

– Nawiasem mówiąc, dziś wieczorem odbyło się kilka świetnych walk. Ta po twojej była fantastyczna.

– Tak?

– Niejaki Johnny Reese wykończył gościa w pierwszej rundzie. Runął na niego jak prawdziwy samiec, wykonał duszenie i po sprawie. Facet porusza się jak kot.

– Do czego zmierzasz? – spytał Colin.

– Jest znacznie lepszy niż ty.

– Okay.

Evan bębnił palcami po stole.

– Jesteś zadowolony ze swojej walki?

– Skończyła się.

Evan czekał.

– I?

- To wszystko.
- Nadal myślisz, że to, co robisz, jest dobrym pomysłem? To znaczy... sam wiesz.

Colin nabrał jajecznicę na widelec.

- Wciąż jestem tu z tobą, prawda?

*

Pół godziny później Colin znów był na autostradzie. Chmury, które od kilku godzin zapowiadały burzę, w końcu spełniły obietnicę, przynosząc wiatr, deszcz i błyskawice z grzmotami. Evan wyszedł kilka minut wcześniej i gdy Colin siadł za kierownicę chevroleta camaro, którego remontował od kilku lat, wrócił myślą do przyjaciela.

Znał Evana, odkąd sięgał pamięcią. Kiedy był dzieckiem, jego rodzina przyjeżdżała na wakacje do domku na plaży w Wrightsville Beach, a rodzina Evana mieszkała po sąsiedzku. Spędzali długie, słoneczne dni na włóczęgach po plaży, grze w piłkę, łowieniu ryb, surfowaniu i pływaniu na deskach boogie. Często nocowali jeden u drugiego, dopóki rodzice Evana nie przenieśli się do Chapel Hill. A Colin zszedł na manowce.

Fakty były całkiem proste. Przyszedł na świat jako trzecie dziecko i jedyny syn zamożnych rodziców, którzy mieli upodobanie do zatrudniania nian i absolutnie nie pragnęli trzeciego dziecka. Był niemowlęciem ze skłonnością do kolek, a później rozsadzany przez energię dzieciakiem z ostrym zespołem ADHD, dzieciakiem, który miewał regularne napady złości i nie umiał się skupić ani nawet usiedzieć spokojnie. W domu doprowadzał rodziców do szału i płoszył jedną nianię po drugiej, a w szkole wdawał się w niezliczone bijatyki. W trzeciej klasie miał wspaniałego nauczyciela, który postawił go do pionu, lecz w czwartej znów pojawiły się problemy. Na placu zabaw wszczywał jedną bójkę za drugą i mało brakowało, a zostałby zatrzymany. Mniej więcej w tym czasie zaczęto uważać

go za trudne dziecko i rodzice, nie wiedząc, co robić, posłali go do szkoły wojskowej w nadziei, że dyscyplina wyjdzie mu na dobre. Pierwszy rok okazał się straszny. Colin wyleciał w połowie wiosennego semestru.

Wysłali go do następnej szkoły wojskowej w innym stanie i przez kilka lat zużywał nadmiar energii w sportach walki – zapasach, boksie i dżudo. Wyładowywał agresję na innych, niekiedy ze zbyt wielkim entuzjazmem, często po prostu dlatego, że tego chciał. Nie przejmował się ocenami ani dyscypliną. Po pięciu kolejnych relegacjach i pięciu różnych szkołach wojskowych w końcu z trudem zdał maturę jako pełen złości i agresji młody mężczyzna bez planów na życie i ani trochę niezainteresowany, żeby coś znaleźć. Wprowadził się do rodziców i tak upłynęło siedem paskudnych lat. Patrzył, jak matka płacze, słuchał błagań ojca, żeby się zmienił, ale ich ignorował. Pod wpływem nacisków ojca podjął pracę z terapeutą, lecz wciąż się staczał po równi pochyłej. Jego nadrzędnym celem była podświadoma autodestrukcja. Tak brzmiały słowa terapeuty, nie jego, chociaż obecnie się z nimi zgadzał. Ilekroć rodzice wyrzucali go z Raleigh, włamywał się do rodzinnego domku na plaży, gdzie cierpliwie czekał na stosowną chwilę, żeby wrócić do domu, po czym cykl się powtarzał. Kiedy miał dwadzieścia pięć lat, dostał ostatnią szansę na dokonanie zmian w swoim życiu. Niespodziewanie z niej skorzystał. I teraz był tutaj, na uczelni, mając w planach spędzenie kilku następnych dekad w sali klasowej z nadzieją, że będzie mentorem dzieci, co dla większości ludzi nie miało żadnego sensu.

Colin wiedział, że jego chęć spędzenia reszty życia w szkole – w miejscu, którego zawsze nienawidził – jest czystą ironią, ale właśnie tego pragnął. Niewiele myśli poświęcał tej ironii i zasadniczo nie roztrząsał przeszłości. Nie zawracałby sobie tym głowy, gdyby nie wzmianka Evana o odwiedzinach u rodziców. Evan wciąż nie

rozumiał, że samo przebywanie w jednym pokoju z rodzicami jest stresujące zarówno dla niego, jak i dla nich, zwłaszcza jeśli wizyta nie była zaplanowana. Wiedział, że gdyby zjawił się niespodziewanie, siedzieliby skrępowani, próbując prowadzić lekką pogawędkę, podczas gdy wspomnienia wypełniałyby powietrze jak trujący gaz. Czułby, jak wzbiera w nich rozczerowanie i jak go osądzają, nieważne, czy wyraziliby to słowami, czy nie. A komu tego potrzeba? Nie jemu, i nie im. Od trzech lat starał się ograniczać swoje nieczęste wizyty do godziny, prawie zawsze w święta, i układ ten, jak się zdaje, wszystkim odpowiadał.

Jego starsze siostry, Rebecca i Andrea, próbowały go nakłonić do naprawienia stosunków z rodzicami, ale ucinął te rozmowy w taki sam sposób, jak uciął rozmowę z Evanem. Ostatecznie życie sióstr różniło się od jego życia. Były chcianymi dziećmi, on zaś pojawił się siedem lat po młodszej jako gruba rozwrzeszczana niespodzianka. Wiedział, że chciały dobrze, ale niewiele ich łączyło. Obie ukończyły studia, miały mężów i dzieci. Mieszkały na tym samym ekskluzywnym osiedlu co rodzice i w weekendy grały w tenisa. Im był starszy, tym bardziej dochodził do przekonania, że podjęte przez nie życiowe decyzje były znacznie mądrzejsze niż jego wybory. Ale one nie były „trudnymi dziećmi”.

Wiedział, że rodzice, tak samo jak siostry, zasadniczo są dobrymi ludźmi. Dopiero po latach terapii pogodził się z tym, że to on był trudny, nie oni. Już nie obwinał matki i ojca o to, co się z nim działo ani co zrobili lub czego nie zrobili. Wręcz uważał się za szczęśliwego syna dwojga niewiarygodnie cierpliwych ludzi. Co z tego, że został wychowany przez nianie? Co z tego, że jego starzy w końcu dali za wygraną i wysłali go do szkoły wojskowej? Kiedy naprawdę ich potrzebował, kiedy inni rodzice prawdopodobnie by się poddali, oni nigdy nie stracili nadziei, że zmieni swoje życie.

I przez lata tolerowali jego wybryki. Poważne wybryki. Ignorowali